

JÓZEF LASOŃ.

BEZDOMNI.

(Z cyklu: WOJNA NA WOŁYNIU.)

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

2

Chciał Frank porozmawiać z żołnierzem, tenże pożegnał go jednak, oświadczając gotowość rozmowy, jednakże w tej chwili nie może, z powodu braku czasu. Pożegnali się serdecznie, przedstawiając się wzajemnie.

Wmieszał się Frank w tłum żołnierzy, pragnąc nawiązać rozmowę. Niechętnie i krzykliwie na pytania odpowiadać zaczęli, dowcipkując ordynarnymi słowami.

— Cóż to? — niezrażony pytał dalej. — Gótuje się do drogi? Pewnie na pozycję idziecie?

— Tak, tak, idziemy! — śmiejąc się odparli — ale i wy z nami pójdziecie.

— Gdzie pójdziemy?

— No z nami! Jak wojna — to wszyscy będziemy wojować!

— My tu zostaniemy!

— Nie będziecie mogli i mieli gdzieś!

— Jakto? — zaciekawiony Frank zapytał.

— To wszystko pójdzie z dymem!

Żołnierz wskazał ręką na budynki dworskie i zamek.

Frank spojrział na mówiącego badawczym wzrokiem, chcąc wy badać, czy to żart ze strony jego, czy też na serio przyjąć to wypada.

— No tak! — potwierdzili drudzy — to wszystko pójdzie z dymem.

Zadrżał Frank na te słowa, zgroza niebezpieczeństwa żywo mu przed oczyma stanęła. Już nie było nadziei ocalenia niczego, pozostawał jeden ratunek szybkiego opuszczenia skazanego na zagładę dworu i co się da unieść, czy uwieźć ze sobą. Spojrzał posępnie po roześmianych żołnierzach, obojętnych na cierpienia ludzkie i nie znających uczuć przywiązania do chaty, mającej rozsypać się w gruzy. Długą chwilę przetrwał w odrętwieniu, rozważając poszczególne słowa, przed chwilą wyrzeczone. Szyderczy wyraz twarzy żołnierskich wyrwał go z tego odrętwienia i powoli doprowadzać zaczął do normalnego stanu myślenia.

— Panie Frank! — wyrwał go nagle z zadumy głos hrabiego.

Odwrocił się szybko i spojrział w stronę, skąd dochodziło wołanie. Dostrzegł wyniosłą postać hrabiego, zstępującego po marmurowych stopniach krużganku, wiodącego do wnętrza zamku. Potrącając się pomiędzy tłumem żołnierzy, dotarł do powoli idącego hrabiego. Twarz hrabiego była nadzwyczaj zmienioną, nerwowo skrzywiono usta, wyrażały ból jakiś wewnętrzny i zrozpaczenie. Skurcze nad oczyma i na czole zbiegły się, sprzęły, myśl jakąś pochwycić się zdawały, wśród tysiąca nawiązujących się planów wybrać jeden dobry i na nim się całkowicie oprzeć.

Frank wyczuł z twarzy hrabiego niebezpieczeństwo, o którym przebąkali żołnierze.

— Panie Frank! — przemówił hrabia złamanym głosem.

— Co, panie hrabio?

— Musimy zamek opuścić!

— Kiedy?

— Dwie godziny czasu pozostawiono nam, ażeby zabrać i popakować potrzebne rzeczy.

— Dwie godziny? — posępnie spytał Frank.

— Tak, dwie godziny.

— Cóż my zrobimy za dwie godziny? Do podróży się ciężko przygotować, nie dopiero myśleć o przenoszeniu rzeczy. Czy pan hrabia nie mówił z pułkownikami, że niemożliwością dla nas w przeciągu tak krótkiego czasu jest przygotować się do podróży. Może nam wynaczyć dłuższy przeciąg czasu?

— Daremnie! Za dwie godziny zamek ma uleść zniszczeniu i zbombardowaniu. Jeśli nie zmiotą go pociski armatnie, tłumaczył mi pułkownik, w razie dalszego przesunięcia linii, czyli odwrotu, zamek pójdzie w gruzy, słowem będzie zdemolowany, ażeby wojska nieprzyjacielskie nie mogły mieć z niego pożytku.

— Więc to wszystko pójdzie w gruzy?

— Tak, mniej więcej tejże nocy! — smutnie odpowiedział hrabia.

Pooralo się czoło jego cieniutkimi nitkami zmarszczek, z nerwowych skurczów, z naprężenia myśli poorane. Nerwowo dłońmi pocierać twarz zaczął, jak gdyby co dopiero powstałe zmarszczki i linie na

twarży rozetrzeć pragnął i usunąć nawałę myśli, przyniatających i miażdżących. Wzrok jego znie ruchomiał, jakby kamiennej postaci, utkwiał, wpatrzony w jednym kierunku.

Frank spojrział na hrabiego i serdecznymi słowami przemawiać zaczął.

— Cóż, jakie rzeczy zabiorę? Chyba tylko walizę i gotówkę, którą obecnie posiadam, no i klej noty rodzinne? A daleko większą wartość dla mnie mają te drobne i bezwartościowe rzeczy na pozór z dziada pradziada w rodzinie moim utrzymywane i pokoleniu przysłanemu chowane.

— Co się da jeno zabrać — zabierzemy na furgony, uratuje się choć część!

— Tak pan myśli?

— Sądzę, że to będzie całkiem możliwe. Natychmiast zabiorę się do rozporządzeń; przecież pozostało nam jakie z trzydziści furgonów i tyleż par koni, znaczna więc część może być uratowana.

— Niech pan rozporządza według swojej woli — odparł hrabia — jestem tak zrezygnowany i samem niezdolny do niczego. Rzeczy, o które mi przedewszystkiem chodzi, są objęte spisem, który panu poprzednio podałem. Będę panu bardzo wdzięczny. Ja tymczasem pójdę się przygotować. Jeszcze raz panu dziękuję. Jedyne pan pozostał ze sług, dlatego jestem panu wielce zobowiązany.

— Ależ, hrabio! To jest mój obowiązek i powinność nie tylko służby, lecz i honoru.

— Wiem, wiem, panie, i dlatego coraz większy mam dla pana szacunek i poważanie.

— Idę natychmiast przygotowania poczynić. Najgorzej jednak będzie z kobietami, tembardziej, że żona moja od paru dni zachorowała dość poważnie!

— Tak? A nic mi pan nie wspomniał!

— Eh... miałem pana hrabiego obarczać jeszcze moimi troskami!

— Więc co pan zrobi?

— Cóż mam zrobić! Muszę przygotować furę i trudno, nie możemy tutaj pozostać. Boję się jednak, gdyż lada chwila spodziewa się rozwiązania, co w takich warunkach łatwo życiem może przypłacić...

— Jakto i pan chce jechać z poważnie chorą żoną? — oburzył się hrabia.

— Cóż mam robić, panie hrabio?

— Co? — namyślał się przez chwilę hrabia. — Zostać tutaj w zamku niepodobna, głos armat coraz wyraźniejszy się staje, zresztą los jego już zdecydowany. Ale nie było mowy o osadzie wśród bajorysk. Tam z pewnością wojna nie dotrze. Niech pan jedzie natychmiast po wydaniu rozporządzeń dla służby z żoną i rodziną do osady, ja zaś z furgonami podążę na Moskwę. W każdym razie to jedynym jest wyjściem z tego położenia dla pana i pańskiej rodziny.

— Tak pan hrabia sądzi?

— Naturalnie! Nie sposób przecież jechać pańskiej żonie na długie tygodnie tułaczki, trudu i niewygody, w czasie poważnej chwili, gdzie najmniejsze wstrząśnienie i trudy podróży mogą ją przyprowadzić o śmierć! Chyba co innego nie możesz pan postanowić!

— No tak, ale pan hrabia...

— Ja... pojadę z furgonami! Niech pan się o mnie nie martwi, rodzina pańska potrzebuje pomocy. Jest jej pan niezbędny i nie mogę żądać dla ocalenia rzeczy moich poświęcenia, może i życia pańskiej rodziny. Przecież życie ludzkie warto więcej, niż te zabytki, które na zagładę zostają skazane.

Chwiejnym krokiem oddalił się hrabia do wnętrza pałacu, zostawiając zamyślonego rządcę pośród zgrai krzyczącego żołnierstwa.

Frank po chwili szybkim krokiem oddalił się do mieszkania.

Jesienny wieczór już się zbliżał, szarżyna nocy okrywać zaczęła ziemię. Zaczzerwieniło się niebo od palących się gdzieś w oddali chat, oświeciły łuny pożaru wichrem pędzone chmury, wlokące się po niebie, jak kłody drzewa po bystro płynącej rzece. Wypłoszone z borów i lasów ptactwo, przestraszone hukami wystrzałów armatnich i łuną ognia, trzepotając skrzydłami falowało nad zamkiem. Spędzone z pobojuwisk stada wron i kruków ponurem krakaniem napełniły okolicę, obsiadując zaciszne ogrody i parki zamkowe. Układały się do spoczynku, aby z rannym brzaskiem na świeży żer wyruszyć, którego wojna podostatkiem im dostarczała i z ludzi i ze zwierząt. Nadciągać zaczęły tabory, w beładnym szyku pomieszane, transporty rannych i jeńców, tamując drogę, wiodącą koło zamku. Już i kolumny wojsk pospiesznie na wschód uchodzić zaczęły — odwrót na dobre się rozpoczynał, raczej do tłumnej ucieczki ludów, niż do cofającego się wojska podobny.

W zamku stojąca załoga również przygotowywała się do odwrotu. Wynoszono na gwałt kance-

larye wojskowe i na czekające furgony beładnie pakowano. Powoli opróżniał się zamek z żołnierstwa, jak również ze sprzętów i własności hrabiego. Kilkunastu parobków dworskich wynosiło cenniejsze rzeczy i obrazy i pod komendą Franka ładowali na dworskie podwozy.

Hrabia z walizką w dłoni wydawał niektóre dyspozycje, jednakże po chwili zawieszany przez pułkownika kazał ruszyć pierwszym wozom, sam zaś wsiadł do karety i ruszył przodem.

Wreszcie rozkazano Frankowi zakończyć ładowanie i oddalić się ze zamku. Wysłał ostatnie wozy prawie że puste, nie pozwolono mu bowiem na ładowanie pozostałymi rzeczami ostatnich wozów.

Na rozkaz komendanta żołnierze rozbiegli się po salach zamkowych, ażeby dzieło zniszczenia doprowadzić do końca.

Frank już nie miał tutaj nic do czynienia. Należało teraz pomyśleć o rodzinie i żonie. Był to już wielki czas ku temu. Już nie odwrót nastąpił w armii rosyjskiej, ale znać było, że armia ta została rozprószoną i w szybkiej ucieczce szukała ratunku.

Postąpił wśród ciemności kilka kroków naprzód, nagle zza ogrodzenia zamku doszedł go krzyk jakiś, słowa błagania i prośby. Podsunął się bliżej i wzrok swój skierował na drogę.

Patrol rosyjską, prowadzącą wziętego do niewoli austriackiego żołnierza, zatrzymali jadący automobilem oficerowie.

— Schwytaliśmy jeńca — raportował żołnierz po rosyjsku — co z nim uczynić, gdzie prowadzić, lub komu oddać.

W kilku dwuznacznych słowach objaśnili patrol o sposobie załatwienia się z jeńcem. Tenże widocznie ze słów rosyjskich i z gestykulacji rąk dorozumiał się, że zbliża się koniec jego życia, zaczął przeto błagać w języku niemieckim rosyjskich żołnierzy. Szturchnięcie kolbami karabinów przekonało go o daremności swoich błagań i prośb. Zaklinać przeto zaczął na żonę i dzieci, imieniem Boga błagał o darowanie życia, serca jednakże wrogów pozostały twarde jak granit.

Frank w milczeniu przypatrywał się tej scenie, przejęty zgrozą i litością. Nie sposób było dopomóc biednemu żołnierzowi, którego winą jedyną było dostanie się do niewoli w chwili, kiedy wojska rosyjskie poniosły sromotną klęskę i w nieładzie uciekały.

Patrol z jeńcem zdążyła w stronę lasu. Już znikli mu zupełnie z przed oczu, w gąszcz leśny wkroczyli, dochodziły go jednak przeciągłe zawodzenia nieszczęśliwego żołnierza i rozpaczliwe słowa prośb. Krzyk wstrząsnął przeraźliwie powietrze, widocznie próbował w ostatniej chwili życia oporu. Echo niedalekich strzałów karabinowych przekonało Franka o skończonej tragedii jeńca.

Wściekłość usiadła na dnie serca, miotana bezsilnością. Oto zabijano człowieka bezkarnie, usuwano go, aby im w drodze nie zawadzał i nie przeszkadzał, lub też nie pozostał w tyle i nie zdołał uciec.

— Cóż dopiero martwy przedmiot u nich wart — rozmyślał z goryczą Frank — coż u nich zrównać wszystko ze ziemią, kiedy życie ludzkie bezbronnego już nieprzyjaciela nie warto nic.

Wspomniał o rodzinie, o losie podobnym swoim i rodziny, jeśli na czas nie zdoła zejść im z oczu i zadrżał przerażony. Nie było już chwili do namysłu. Pozostał do końca na stanowisku obowiązku — nic już nie mógł ani uratować, ani ochronić od zniszczenia.

Rozpychając się pośród żołnierstwa — dotarł do domu, gdzie na pół przytomna żona gotowała się do drogi, ubierając płaczące dzieci.

III.

Nerwowo zabrał się Frank do pakowania skromnych sprzętów, jedyne go dobytek za szereg lat pracy. Więc niezbędną garderobę, przybory kuchenne, obrazy i portrety, kilka dywanów i mniejszych koniecznych mebli, które dały się zabrać na lekką bryczkę, zaprzężoną w parę pozostałych koni i czekającą przed domem. Żona, mimo nadwyrężonego zdrowia i spodziewając się niedługo nastąpić mającej chwili wydania na świat potomka, gorączkowo również pomagała mężowi przy pracy. Okryła i ubrała troskliwie dzieci, wyszukując pośród nieładu przydających się rzeczy i zapasów żywności. Znużone dzieci poukładała na łóżeczku, które też niebawem zasnął snem spokojnym, dziecięcym, nie pojmując całej zgrozy niebezpieczeństwa. Zapasy żywności starannie posortowano i wspólnymi siłami wnieśli je Frankowie na wóz.

— No, już prawie pełna bryka — rzekł Frank